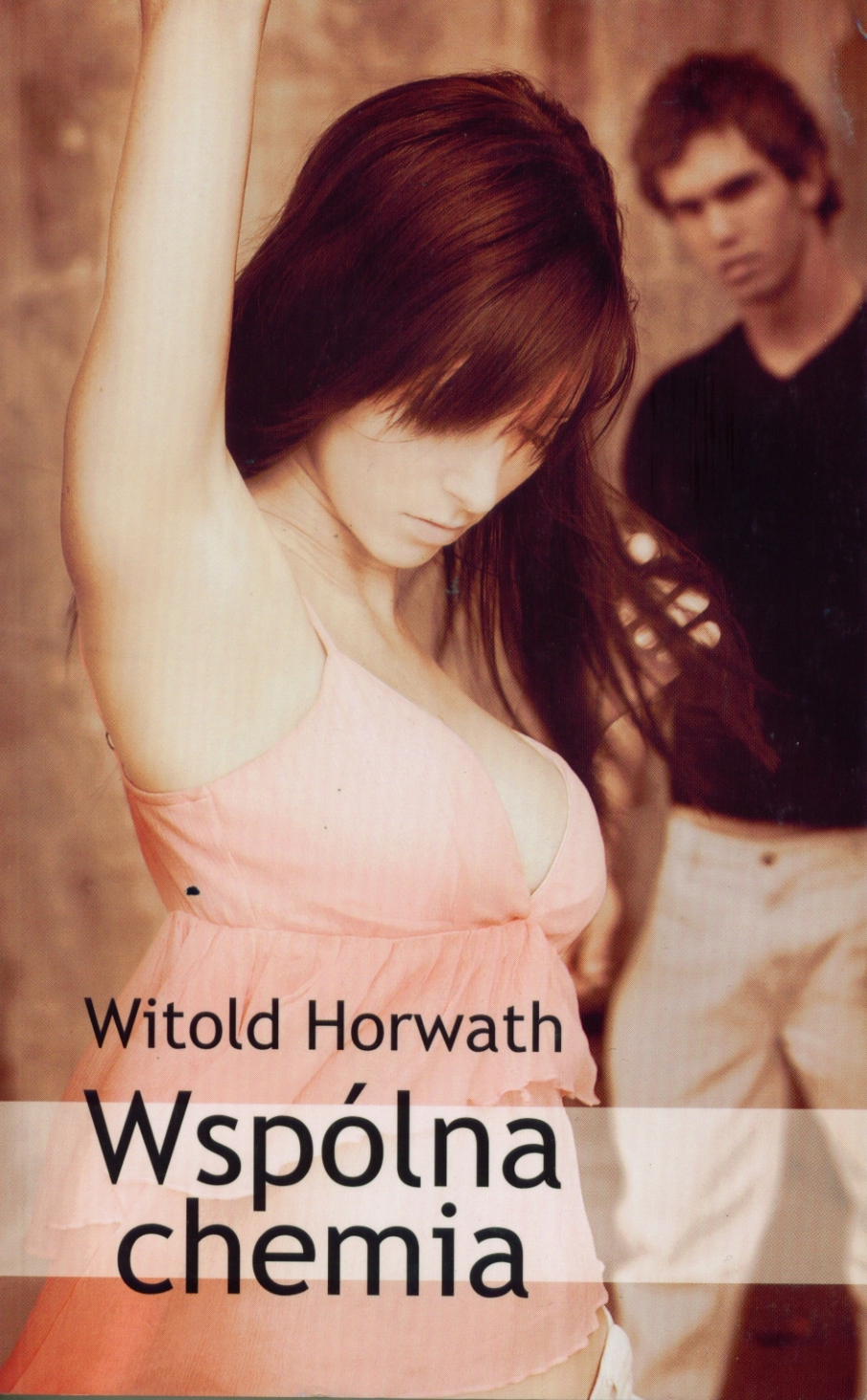




Witold Horwath

Wspólna chemia

Wspólna chemia

Witold Horwath

Wspólna chemia

Jirafa Roja

Warszawa 2006

© Copyright by Witold Horwath, 2006

© Copyright by Jirafa Roja, 2006

Korekta: **Magdalena Rejnert**

Łamanie: **Tatsu** 

Zdjęcia na okładce: **Amanda Rohde** | [iStockphoto.com](https://www.istockphoto.com)

ISBN 978-83-62948-61-1



Wydanie I
Warszawa 2006

Kiedy słyszę: seks, od razu myślę o Nim, przez największe N, o moim facecie, moim Adamie, bo nosi biblijne imię pierwszego mężczyzny, pierwszego mojego mężczyzny, który pokazał mi raj. Andżelika mówi, że jestem nimfomanką, bo powiedziałam jej, że *number one* przeżywam już, jak on bierze prysznic; z łazienki dobiega szum, a ja wyobrażam sobie jego ramiona, brzuch, i włosy okalające słup miłości, żywy posąg hinduskiego boga Lingi, a na nich, na tych, włosach perlą się krople wody, jak poranna rosa na leśnym poszyciu, a dalej uda, nie masz pojęcia, Andżela, jakie on ma uda, kolana, stopy, arcydzieło natury, a nie jak ci chłopcy, co cały czas biegają na siłownię i pakuja, taki facet z siłowni to w ogóle nie mój typ, może tobie się oni podobają, różne są gusta, co nie? A w ogóle to na pewno nie wiesz, co to takiego ten Linga i jego kult, no to sobie przeczytaj w ostatnim „Stylu”, a może w „Cosmo”, wycięłam ten artykuł, jak nie masz, to ci jutro przyniosę do szkółki. Jaka tam ze mnie nimfomanka, jeśli poza nim faceci w ogóle na mnie nie działają, nawet z Kazikiem z Kultu bym się nie przespała, ani z tym no... no co grał w tym filmie, na którym byliśmy w Multikinie, wiesz, o którego mi chodzi, z nim bym też nie poszła do łóżka, a wiem, że laski szaleją za nim na maksa. Poważnie: seks to dla mnie Adam. Mój

mąż. I wcale nie dlatego, że wyznaję jakieś wartości chrześcijańskie, bo nie wyznaję, jestem światłą, nowoczesną, ale po prostu — kocham go.

Miałam to wielkie szczęście, że się spotkaliśmy wtedy, w Jarosławcu, to było w wakacje po siódmej klasie; żeby mój stary wiedział, że straciłam dziewictwo, chyba złałby mnie pasem, on ma takie poglądy i metody jak ze średniowiecza. Bo matce to wisiało, w ogóle nie interesowała się, co robię, nawet nie zauważyła, że nie nocuję w pensjonacie, gdybym umarła, też by pewnie zorientowała się po trzech dniach.

Andżela, kiedy on bierze z półki żel, już jestem cała mokra, tam w środku. A wiesz, jaki mam wtedy wyczulony słuch? Normalnie słyszę jak piana obmywa jego ciało, i pragnę być wodą, gąbką, każdym kosmetykiem, którego używa, jak one dać mu swój dotyk i zapach, i być wtartą, wchłoniętą porami jego skóry, a teraz ręcznikiem chcę być, bo słyszę, że już po niego sięgnął, za chwilę otworzy drzwi, wyjdzie, a potem osiem kroków, policzyłam, tyle zawsze robi od łazienki do sypialni, a każdy, to najbardziej wyrafinowana gra wstępu, co ja mówię, potem już nie potrzeba żadnej gry, tymi jego ośmioma krokami w korytarzyku ja wchodzę, wbiegam na szczyt, rozumiesz, Andżela? To jest *number two*, może faktycznie mam coś z nimfomanki, ale dla niego mogę być wszystkim, nawet dziwką, zero zahamowań, tak było od pierwszej nocy, tam w Jarosławcu...

Za szóstym krokiem Adama wielki, stary zegar, który odziedziczyli po jego dziadku i który stał w dużym pokoju, chociaż nijak nie pasował tam do pozostałych mebli i wystroju w stylu Ikei — zakrzusił się kukułką. To oznaczało, że jest godzina trzecia dwadzieścia, a może nawet czterdzieści, bo i takie spóźnienia przytrafiały się starowińnie. Adam otworzył drzwi sypialni, zrobił siódmy oraz ósmy krok, po czym nachylił się nad Justyną. Miała kołdrę zsuniętą do bioder i otwarte oczy.

— Śpij, śpij — szepnął, zmieszany tym, że obudził żonę. Naprawdę, starał się brać prysznic cicho, potem na palcach przejść do sypialni, ale mała ma cholernie czujny sen, jak kotek, jak królik; z przyjemnością pogłaskał policzki ciepłe od snu, słodko ogrzane tam, po drugiej stronie jawy, gdzie sam chciał się jak najprędzej znaleźć; po dniu, który trwał blisko dwadzieścia godzin marzył, by zasnąć obok Justyny, przytulony do jej ciała.

Pod zamkniętymi powiekami zobaczył monitor, a na nim słupki cyfr, obrazujące wyniki sprzedaży za ostatni kwartał, do drugiej trzydziści ślęczeli nad tym, a jeszcze ta kretynka, Teresa, zgubiła gdzieś umowy leasingowe... Poczuł dreszcz, po którym świadomość, jak komputer bezpiecznie się wyłącza, program zamknięty, ekran ciemny, do rana nie ma mnie.

To śni się czy naprawdę? Justyna lekko potrząsa jego ramieniem. Słyszy jej głos:

— Adam, co jest nie tak? Pogadajmy...

Chyba to jednak sen. Raczej na pewno. Justyna przecież nie używa takiego tonu. Ale na wszelki wypadek odpowiada, a może też tylko mu się śni, że odpowiada, w każdym razie do Justyny dobiega jego mamrotanie:

— Wszystko *okey*. Śpijmy.

— Śpijmy, śpijmy — powtórzyła jak echo, i w tym samym momencie poczuła, że właśnie stała się echem, czyli nikim, zupełną nicością i bezsensem wśród nocy, pustką, pośród pustki, i aby czymś się wypełnić, przywołała wspomnienia. Najpierw to spod prysznicza, choć nie ustalała kolejności, samo przepchnęło się na pierwsze miejsce. Stała pochylona, rozwartymi dłońmi wsparta o zimne, białe kafelki, i nie widząc Adama, wszystkimi pozostałymi zmysłami, wszelką komórką organizmu doznawała jego obecności za plecami, pośladkami, kręgosłupem, który wił się w esach floresach, a woda, ciepła woda obmywała skórę, cały czas bowiem pieścił ją prysznicem, także wtenczas, gdy oboje ukłękneli i promień

rozkoszy, co ją przenikał, stał się nieledwie bolesny; wtedy dopiero odwróciła głowę i nie potrafiąc tak okręcić szyi, by spotkały się ich usta, pocałowała go w policzek.

— Adam — powiedziały chórem wszystkie neurony jej czternastoletniego ciała. A on uśmiechnął się.

— Wiedziałaś, że to ja? A gdyby to był inny facet... Nawet się nie odwróciłaś, kiedy wszedłem.

Wkurzył ją tym tekstem. Nawet w żartach nie znosiła aluzji, że mogłaby to robić z innymi, albo że ma do seksu takie podejście, jak niektóre koleżanki, co faktycznie potrafiłyby stać pod prysznicem, tyłem do zasłonki i czekać, kto pierwszy ją uchyli. Ale to nie ona, nie Justyna. Choć oczywiście jest nowoczesna i bezpruderyjna, co niestety ciągle jeszcze wielu zacofanych facetów myli z kurestwem. Na przykład jej tata.

I za przynależność do ciemnego, męskiego rodu, ugryzła Adama w ramię, aż jęknął.

— Jeszcze raz coś takiego powiesz, to cię ugryzę gdzie indziej!

Lecz zamiast tego pocałowała. I to było takie niesamowite, takie cudowne, że Adamowi natychmiast naprężył się, w ułamku sekundy, ledwie tylko musnęła go tam rozwartymi ustami. Był twardy jak rączka prysznicza, którą trzymała w drugiej dłoni, kierując strumień na jego pępek i podbrzusze.

Potem spróbowała odtworzyć, jak było pierwszy raz, tu, w ich własnym mieszkaniu, jeszcze nie na tym tapczanie, gdzie dzisiaj Adam śpi, a ona, by nie pójść na samo dno rozpacz, kurczowo chwyta się wspomnień; mieli wtedy tylko materac i śpiwór na nim. I kilka poduszek, które kupiła dzień wcześniej na wagę, bo trafiła na wyprzedaż w Auchan; i tych rolet w oknach także jeszcze nie mieli, to był jej pomysł, żeby zamontować, i koniecznie niebieskie, taki kolor bowiem nakazywały zasady feng shui. Lecz owej pierwszej nocy szyby były nieosłonięte i neon hotelu Forum

rytmicznie pulsując robił im dyskotekę, i tak fajnie opalizowały w jego świetle puste flaszki i kieliszki na parapecie, bo godzinę wcześniej właśnie parapetówkę skończyli. A kiedy neon przygasał i ciemność zlepiła się nad nimi, pierwszym ze zmysłów stawał się węch, kontemplowała więc zapach świeżej farby, którego dawniej nie znosiła, bo ktoś lubi wachać farbę emulsyjną, ale teraz to ich mieszkanie było pomalowane, toteż wdychała niby aromat, niby woń bzu na randce w noc majową.

Gdy skończyli się kochać, spytała, jak mu było. Powiedział, że super. Jej też było super, lecz mimo to nie wiadomo skąd jakiś niepokój nagle się przyplątał. Dokuczliwy, narastający, całym jak te tramwaje, co właśnie zaczęły wyjeżdżać na miasto i z metalicznym zgrzytem szlifowały nadraśną ciszę.

— Pierwszy raz... kochałeś się z własną żoną — szepnęła z trema. Adam nie zrozumiał, w czym problem.

— Dla mnie jesteś żoną już od dwóch lat — odrzekł z charakterystyczną dla siebie prostotą, lecz to tylko wzmoгло obawy Justyny. Tym bardziej, że była świeżo po całej masie lektur na temat psychologii i seksuologii małżeństwa.

— Ale faceci wolą mieć kochanki niż żony. To ich bardziej podnieca — powiedziała, starając się nadać głosowi suche, beznamietne brzmienie, bo niby jakie emocje może w niej budzić ta oczywista prawda; nie po to jest czytana, nowoczesną kobietą, żeby jak głupia gąska z Pcimia lkać, że *life is cruel*.

— Zależy jacy — zaproponował Adam, ale Justyna nie dała się zwieść.

— Dwoje amerykańskich uczonych udowodniło, że mężczyźni mają naturę poligamiczną. To wynika z odmiennej chemii ich mózgu. W Ameryce były robione bardzo ciekawe badania na zwierzętach...

Pamięta, że w tym momencie mąż zaczął się śmiać i nie dał opowiedzieć o baranie, który może jedną owcę pokryć

tylko siedem razy i nigdy więcej, choćby mu nałożyć worek na łeb; Adam śmiał się, tramwaje zgrzytały, Justyna na serio się wkurzyła.

— I leżę potem do łóżka z byle wyciruchem — wycedziła nienawistnie, własnymi słowami streszczając wniosek płynący z amerykańskich badań.

Może chociaż teraz nie będzie się śmiał i przerywał jej w pół słowa. Justyna z determinacją potrząsnęła śpiącym mężem.

— Posłuchaj, jesteśmy nowoczesnym, partnerskim małżeństwem.

Odmruknął coś nieartykułowanego.

— Powiedz mi prawdę, jak przyjacielowi: masz kogoś?

Efekt przeszedł jej oczekiwania: Adam w ułamku sekundy poderwał się i przyjął pozycję siedzącą. Zupełnie, jakby był na sprężynie.

A potem jego nieprzytomny wzrok powędrował od nadgarstka do nocnej szafki, gdzie przed snem położył zegarek.

— O cholera, nie zadzwonił! — westchnął, a był w tym bezmiar skargi i bezsilnej złości — na budzik, wczesną porę, krótki sen, nowy ciężki dzień. Na cały świat. Słyszac głos męża, aż struchlała.

— Nie, dopiero czwarta, śpij — szepnęła i pogładziła go po włosach. Natychmiast z powrotem osunął się na poduszki. Był taki słodki, taki dzieciak, kiedy spał. I te jego rzęsy. Długie, cudowne, miała ochotę je całować, ale bała się, że znów go obudzi.

— Tak strasznie cię kocham — mówiła, ale już tylko w myślach. — I dlatego muszę, rozumiesz, muszę wiedzieć, czy mnie nie zdradzasz!

Kiedy rano próbował ją obudzić, zupełnie nie kontaktowała, nie rozumiała, czego od niej chce, problem Ani i jej przedszkola przywalała gruba warstwa niewyspania oraz okrop-

nych myśli, co dręczyły do świtu, więc żadna córka nie istniała, żadne przedszkole, a tym mniej jakaś tam godzina ósma, na którą należałoby ją odprowadzić. A zresztą, czy to nie bezsens tłuc się z dzieckiem trzy przystanki autobusem, jeśli Adam może ją podrzucić jadąc do firmy? Boże święty, wielkie tam nadłożenie drogi, najwyżej piętnaście minut! A ona przecież musiałaby wstać, umyć się, ubrać, no i *make up* jeszcze... nie, *no chance*, Adaś, ty ją odwieź! Chyba nawet mu tego nie powiedziała, tylko wyjęczała w rozespanych myślach, tuląc się do poduszki i rozpaczliwie naciągając koldrę na głowę; z ulgą przyjęła, że sobie poszedł, nie stoi nad nią, nie gada, nie szarpie, szlaban zagradzający piękną, szeroką autostradę snu podniósł się i Justyna pomknęła tam sto mil na godzinę.

Około trzynastej zadzwonił Mietek; na szczęście słuchawka bezprzewodowego aparatu leżała na wyciągnięcie ręki, nie musiała więc wstawać.

— Obudziłem cię? *Sorry*. Ale masz niesamowicie seksowny głos, kiedy jesteś taka rozespana...

Mieciu był starszy od niej dobre pięć lat i puszysty. Stale podkreślał, jaki jest bogaty z domu i że czeka go wielka kariera. Do tego jednak musi zrobić maturę, no bo głupio, żeby prezes wielkiej spółki albo banku legitymował się ukończoną podstawówką. Póki co pomagał bratu w interesach, a dokładniej mówiąc stał przedpołudniami za ladą jego sklepu. Zawsze dobrze ubrany i pachnący drogimi, męskimi perfumami, na których punkcie miał hopla. Kiedyś z Andżelą odwiedziły go tam, a on próbował pochwalić się bratu, że są jego kochankami. Bo poza wszystkim Mieciu to erotoman, a dokładniej: erotomangawędziarz.

— Chciałbym, Justynko, żebyś budziła się co rano obok mnie — kontynuował swój telefoniczny flirt.

— To niemożliwe, Mietku. Przecież wiesz, że mam męża.

Lubiła, kiedy faceci ją adorowali, bo mogła wtedy odpowiadać tym tekstem. A mało co sprawiało większą frajdę niż chwalenie się, że jest mężatką; i to nie byle jaką, bo żoną samego Adama, najinteligentniejszego i najbardziej seksownego faceta w całej galaktyce. Najchętniej chodziłaby z taką tabliczką na piersiach.

— A czy to przeszkadza? — Mietek, kiedy się denerwował, zaczynał tak jakoś poświstywać nosem; nawet przez telefon dało się to słyszeć. — Przecież nie żyjemy w średniowieczu... Sama mówiłaś, że masz na te sprawy nowoczesne poglądy.

Jego teksty były jak na zamówienie. Wprost idealnie pasujące do ukochanych jej odpowiedzi.

— Posłuchaj, ja nie jestem z Adamem dla konwenansu czy dlatego, że coś tam sobie przysięgliśmy przed ołtarzem. Takie sprawy nie mają dla mnie znaczenia.

Kiedyś trochę się bała, że dochowując małżeńskiej wierności może zostać nazwana mieszczką, kurą domestiką i dinozaurem. Ale na szczęście przeczytała wywiady z kilkoma sławnymi kobietami, które zgodnie twierdziły, że wierność, jeśli wynika z miłości, wcale nie ośmiesza, a przeciwnie — jest czymś pięknym. I tak byłaby wierna Adamowi, bo go kochała, to ją wszakże uspokoiło.

— Czyli nie mam szans? — spytał Mietek, z trudem mieszcząc się w niby to żartobliwej konwencji.

— Możemy być przyjaciółmi — zaproponowała, bo nagle przypomniało jej się, że pojutrze jest sprawdzian z geografii, a Mieciu na pewno ma *perfect* porobione ściągę. Jedną z tych jego gęsto zadrukowanych, małych kartek, w porę podesłana, uratuje przed jedynką na semestr.

— Dla mnie to za mało — westchnął.

Ten ton źle wróżył. Pod znakiem zapytania, i to wielkim, stawiał rachuby na jego pomoc na sprawdzianie.

— Mietku, zapomnij. Jest tyle fajnych dziewczyn. Na przykład Edyta — Justyna ożywiła się nagle, bo poza wszystkim lubi-

ła swatać; inna rzecz, że nigdy nie udało się jej skojarzyć żadnej pary, ale zawsze to frajda poznać ze sobą chłopaka i dziewczynę, a potem patrzeć, co z tego wyniknie.

— Co za Edyta? — zainteresował się Mietek.

— Moja koleżanka. Nie znasz. Ciągłe szuka chłopaka na stałe. Opowiadałam jej nawet kiedyś o tobie...

To ostatnie było o tyle prawdą, że kilka dni temu we dwie z Andżelą w przytomności tejże Edyty opłotkowały klasę, a najwięcej dostało się niejakiemu Mieczysławowi K., puszystemu erotomanowi.

— Ładna?

— W każdym razie faceci oglądają się za nią na ulicy.

Już zapomniała o sprawdzianie z geografii i bezinteresownie, całym sercem chciała teraz pomóc Mietkowi, a jeszcze bardziej Edycie, żeby wreszcie znalazła to, czego szuka, a raczej — tego, którego szuka i już dłużej nie wypłakiwała się przed nią po kolejnych zawodach.

— Umówię się z nią kiedyś po szkole i pójdziemy całą paczką do pubu.

— Jesteś ekstra kumpela — powiedział Mietek. — Ale wolałbym, żebyś była moją dziewczyną.

— Wiem — użyła smutnego tonu, lecz uśmiechnęła się zadowoleniem. — Jesteś, Mietku, bardzo ciepłym i pozytywnie energetycznym facetem. I bardzo cię lubię.

Mówiła prawdę, bo nie potrafiła kłamać. Nawet dla korzyści. Rzeczywiście tak Mietka w tej chwili odbierała i — autentycznie lubiła. Niby grubego, pluszowego misia, do którego można się przytulić. I żałowała, że Mieciu nie jest nim naprawdę, i niestety — przytulony zachowa się całkiem inaczej niż pluszowy niedźwiadek.

Powinna była już wstać, ale nie mogła się oprzeć, żeby nie zadzwonić do Andżeli. Odebrała jej matka, odęta i oschła, jasne więc, że znowu się żarły.

— Koniec — powiedziała Andżela. — Podjęłam decyzję.

— Wyprowadzasz się z domu? — spytała Justyna.

— Mam do wyboru — odcięcie przeszłości, albo nawrót bulimii — Andżela mówiła to o wiele za głośno jak na potrzeby rozmowy prowadzonej przez sprawne telefoniczne łącza, ale chodziło oczywiście o to, żeby matka w drugim pokoju nie uroniła ani jednego słowa. — Dzisiaj znów całą noc rzygałam. Mój psychoanalityk powiedział mi, że wpadłam w schizogenną pułapkę podwójnego wiązania. Rozumiesz: ja ją jem, a później wyrzucuję z siebie.

— Kogo jesz? — spytała Justyna z niepokojem.

— Moją matkę. To, że nie karmiła mnie piersią wywołało we mnie do dziś nienasycony głód uczuciowo-emocjonalny. Ale to oczywiście chory, toksyczny związek...

Andżela zawsze rzucała takie teksty i bardzo prędko wszyscy w szkole odsunęli się od niej. To zresztą niespecjalnie jej przeszkadzało, dalej przez całe przerwy tokowała o swoich traumach, psychoanalizie, a ostatnio coraz częściej o różnych wrózkach i egzotycznych wierzeniach, czym była do szpiku kości zafascynowana. Potrzeba mówienia tak była w Andżelice silna, że słuchacz w zasadzie się nie liczył, a nawet — mogło go wcale nie być. Do takiej ostateczności nie doszło wszakże, miała bowiem Justynę. Zawsze wierną, cierpliwą, życzliwie zainteresowaną, której nie zrażał skrajny egocentryzm przyjaciółki, ani też jej *image* techno, ale to tak okropnie techno, że aż zdawał się parodią stylu. Justyna chwilami dochodziła do wniosku, że gdyby nie te wszystkie dziwactwa z włosami, ciuchy jak obudowa cyborga i pstrokaczna tatuaży, Andżela po prostu byłaby sobie szarą myszą, jak jej matka — kobieta, za którą na pewno nigdy żaden facet nie obejrzał się na ulicy.

Ale lubiła ją i uważała za bliską przyjaciółkę. Tym bliższą, im bardziej wszyscy inni w klasie unikali i nie lubili Andżeliki. Poczytywała to sobie wręcz za przedmiot dumy, że ona jedna dorosła poziomem do rozmów o psychologii, re-

inkarnacji i długu karmicznym. Bez dwóch zdań one dwie w klasie w najwyższym stopniu były uduchowione, czyli że miały najstarsze dusze. Andżela pokazała jej, jak wiek duszy się oblicza — trzeba przypisać literom imienia i nazwiska odpowiednie cyfry, po czym zsumować. I chyba jeszcze przez coś podzielić, już dokładnie nie pamięta, w każdym razie wyszło, że taki na przykład Mietek jest od każdej z nich dwa razy młodszy. A reszty klasy to nawet szkoda czasu sprawdzać.

— No a co u ciebie? — spytała Andżela po dwudziestu minutach mówienia wyłącznie o sobie; to i tak był postęp, bo kiedyś w ogóle nie interesowała się sprawami przyjaciółki.

— Bez zmian — odpowiedziała smętnie Justyna.

— Kolejna noc bez seksu?

Miała wrażenie, że słyszy w głosie Andżeli nutkę złośliwej satysfakcji i zrobiło jej się przykro.

— Sama nie wiem. Może to moja wina — westchnęła.

Na dźwięk słowa „wina”, Andżela niespodziewanie ożyła się.

— Pięknie! Bierz winę na siebie! Ja przez dwadzieścia lat to robiłam... Wszystko, rozumiesz, wszystko było moją winą: to, że ona ma wrzód żołądka, że musi na mnie pracować, że nie znalazła sobie chłopca, nawet to, że kondom pękł i się urodziłam.

Justyna wyobraziła sobie twarz jej matki, która słyszy to wszystko przez akustyczną ścianę ich mieszkania w bloku, i zawstydzila się — za Andżelę i za siebie, że uczestniczy w takiej rozgrywce. Mój Boże, przecież teraz nie będzie mogła spojrzeć tej kobiecie w oczy! A na pewno natknie się na nią w kuchni czy w przedpokoju. I to nie raz jeszcze, bo Andżela tylko tak gada, ale oczywiście nigdzie się nie wyprowadzi. Najwyżej na dwa, trzy dni, do jakiegoś faceta.

— I dopiero Jurek, mój psychoanalityk, otworzył mi oczy. Dziewczyno, mówi, zrzuć ten garb! Nie ma winy, są

tylko przyczyny. Kazał mi to napisać na kartce i powiesić nad łóżkiem.

— Wiem — powiedziała Justyna — cała nasza kultura przepojona jest pojęciem grzechu. To zasługa, w cudzysłowie oczywiście, naszej religii.

Gdy to mówiła, a ściśle powtarzała po jednym znajomym Adama, przyszło jej do głowy, że każda przesada jest niedobra — faktycznie, księża na pewno przeginają z tym grzechem, ale powiedzieć, że ludzie w ogóle nie są niczemu winni, to też przegięcie, tylko w drugą stronę. Na przykład — jej matka. Czy można mówić, że nie jest winna? Po tym jak pograła z ojcem? A z nią, Justyną, własną córką, co zrobiła? Jakie dzieciństwo jej zafundowała? I co? Nie ma winy, są tylko przyczyny? A pieprzyć taką filozofię! Tylko, w przeciwieństwie do Andżeli, ona nigdy swojej matce tego nie wygarnie.

Spojrzała na zegarek, była już 14.30.

— Cholera, za godzinę musimy być w szkole! — prze-rwała przyjaciółce wpół słowa.

To była bardzo dziwna zbieranina ta ich klasa; rozpiętość wieku od siedemnastu do czterdziestu lat, i normalnie cały przekrój społeczny — od takich prawie stuprocentowych inteligentów, którym gdzieś na edukacyjnym szlaku powinęła się noga po lud pracujący miast, a nawet i wsi; tych ostatnich popularnie nazywano pszenno-buraczanymi. Naturalnie, więcej było kobiet, faceci bowiem nie zachodzą w ciążę i dzieci nie rodzą, a co za tym idzie trochę im łatwiej zrobić maturę o czasie w zwykłej szkole dziennej. Ci, którym mimo to się nie udało, mieli na ogół jakąś przeszłość — alkoholową, narkomańską, więzienną, taktownie nikt ich nie wypytywał. No i oczywiście było też kilku zupełnych matolów, i to obojga płci, co to liczyli, że może chociaż tutaj, gdzie płacą za naukę z własnej kieszeni i gdzie wymagania są naprawdę minimalne, dostaną wreszcie ten papierek upragniony-wymarzony;

nie tyle przez siebie, ile przez rodziców, którzy do końca, desperacko usiłowali stworzyć swym trzydziestoletnim pociechom lepszą szansę na starcie do kariery. Co pewien czas ktoś ubywał, a to zwykle znaczyło, że wszedł w posiadanie świadectwa maturalnego prostszym sposobem: zamiast męczyć się tu trzy razy w tygodniu, kupił je sobie na bazarze. Justynie też kiedyś ktoś oferował taką fałszywkę, ale uczciwość nie pozwoliła jej skorzystać. Zresztą lubiła chodzić do szkoły, bo to co drugi dzień zapewniało nie tylko życie towarzyskie, ale — co ważniejsze jeszcze — poczucie bycia w grupie, czego przez ostatnie lata strasznie jej brakowało. Bo w podstawówce należała do tych najbardziej lubianych przez klasę, i to ze wzajemnością; rozplakała się, kiedy ginekolog orzekł, że ciąża jest zagrożona i wystawił zwolnienie do końca roku... Zresztą i tak nie mogłaby się w szkole pokazać z brzuchem, taki to u nas ciemnogród!

Lekarz był przekonany, że to z lęku o dziecko ten płacz, i zaczął pocieszać, mówiąc jakimi to doskonałymi środkami na podtrzymanie dysponuje dzisiaj medycyna; przerwała mu: panie doktorze, ja muszę pójść do szkoły! Edytka nie poradzi sobie sama z konkursem! Chodziło o to, że organizowały z Edytką konkurs na najbardziej oryginalny ciuch jesienny.

Ale oczywiście potrafiła wagarować, i dawniej w podstawówce, i teraz też, jak chociażby dzisiaj, kiedy bez większych oporów uległa namowom Andżeli, żeby zerwać się z fizyki. Po prostu miała wszystkiego potąd: najpierw ta noc, kolejna bez seksu, za to pełna okropnych domysłów, potem na komórcę Adama cały dzień odzywała się poczta dźwiękowa, a w firmie mówili, że gdzieś wyszedł, no i wreszcie żenująca afera na polaku, czyli — gwóźdź do trumny.

Babka od polaka jak zwykle nadawała teksty, z których zrozumieć można było dokładnie zero; o jakichś strukturach